

Plac

Przełożył Aleksander Horodecki

Kryjąc się przed chłodnym jeszcze wiatrem, za starym grubym zgniłym – już bez korony – dębem trzech chłopców grało w karty. Dąb stał prawie w rogu placu, tam, gdzie nie przeszkadzał, nikt nawet nie pomyślał o tym, by go ściąć, skutkiem czego w takim dniu, chłodnawym i nudnym, resztki dębu zapewniały chłopcom jako takie schronienie. Karty były stare, wytarte, miały poobrywane rogi, gra niezbyt wciągała chłopaków, jednakże jej nie porzucali; przegrany obojętnie nastawiał czoło, zwycięzca leniwie wymierzał dziesięć prztyczków.

– Mały, a ty czemu nie grasz? – spytał Haska czwartego chłopca, który w milczeniu obserwował grę. – Matka nie pozwala?

– Wujek mu nie pozwala – wyszczerzył się Szary. – Chociaż to wszystko jedno, wujek i tak nie widzi.

Mały milczał.

– Dajcie mu spokój – powiedział Myszko Schweigermann. – Pilnujcie lepiej gry, bo już mnie palce bolą.

Zamilkli na kilka minut.

– Przydałoby się załatwić jakąś piłkę, czy co – pocierając się po czole, powiedział po kolejnej rundzie Haska.

– Mam gdzieś, chyba w chlewie – odezwał się Myszko Schweigermann.

– To jeszcze ta z jesieni? – zainteresował się Szary.

– Jasne, że ta.

– To szmata, nie piłka. Musimy coś wymyślić.

– Spytaj Małego, może wujek coś podrzuci – powiedział przez nos Szary. – Jak tam, Mały, wujek wyręczy?

Mały pomyślał sobie, że Szary nigdy w życiu nie zwracałby się z prośbą do jakiegoś tam trzecioklasisty, gdyby nie wujek. I piłka. Nie wiedzieć czemu, Mały zaczerwienił się i wydukał:

– Już się pytałem. Wujek obiecał.

– To w porządku, będzie piłka – wtrącił się Myszko Schweigermann. – Skoro mają tam w drużynie piłki, to dlaczego nie poprosić o jedną? Przecież twój wujek jest kapitanem...

Mały, z tej radości, wydobył z siebie coś podobnego do odgłosu zabawkowej lokomotywy i pomyślał, że na pewno załatwi im tę piłkę.

– Chyba muszę iść do domu – powiedział nagle Haska i pokręcił nosem długim jak nowy ołówek – Siostra kazała pozmywać naczynia.

– No i sama niech to zrobi – wyszczerzył się Myszko Schweigermann. – To nie jest męska sprawa...

– Przecież i tak się tu nudzimy – poparł Haskę Szary – może byśmy się rozeszli?

– Zdążymy się rozejść – zaprzeczył Myszko Schweigermann. – A co z drużyną, już coś postanowiliśmy? Co będzie z drużyną w tym roku?

– Co będzie z drużyną? – zadrwił Szary. – Mało ci zeszłorocznej porażki?

– Przecież to było w finale – niepewnie dorzucił Haska.

– W jakim finale?! – rozgorączkował się Szary. – Mistrzostw świata, czy co? Przecież to wiocha jest i wiochą pozostanie. Zauważyłeś Myszko, że wszyscy u nich grali na bosa-ka?

– Oprócz bramkarza – powiedział Myszko Schweigermann.

– Czyli zauważyłeś... A my wyszliśmy jak zawodowcy, wszyscy w trampkach, w jednako-wych koszulkach...

– No i Saszko nie będzie już grał, ze względu na wiek – wybełkotał Haska.

– Saszko jest mocny w głębie – uciął Szary. – Że niby dwóch go trzymało i dlatego nie mógł nic zrobić... Po prostu bał się o swoje nogi i tyle.

– Co było, to było – ugodowym tonem powiedział Myszko Schweigermann. – Drużyna i tak by się przydała, jakieś piętnaście osób nabieramy na ulicy.

– Pewnie, że nabieramy – zgodził się Haska. – Oł, przykładowo, Mały. Spokojnie może wyjść w pierwszym składzie.

– I wyjdzie – zgodził się Myszko Schweigermann. – Mały, załatwisz piłkę i jesteś w zespole, jasne?

– Jasne – mruknął Mały i opuścił wzrok, żeby nikt nie widział, jak się cieszy. – Może wujek już dziś załatwi...

Nikt nie zdążył skomentować tych słów, bo Haska wskazał palcem punkt, w którym droga wychodziła na plac i zawołał z zachwytem:

– Ależ piękne, patrzcie, telewizor wiozq! Do kogo to? To przypadkiem nie twoja matka siedzi tam, Mały?

Na wozie, obok woźnicy, rzeczywiście siedziała matka Małego, przytrzymując ogromne pudło.

– Skąd wiesz, że tam jest telewizor? – Szary z zazdrością patrzył w stronę, w którą Haska pokazywał palcem.

– Wiem – uciął Haska.

– To naprawdę telewizor – powiedział Mały i zaczerwienił się. – Mama mówiła, że dziś przywiozq. Chyba już pójdę, co? Popatrzę?

– No leć, leć – pobłażliwie zezwolił Szary. – Macie już antenę?

Lecz Mały nie słyszał już pytania, ile sił w nogach pędził za wozem, żeby popatrzyć na cudo, które wprowadzi się do nich do domu, i nagle, nie wiedzieć skąd, twarz chłopca pokryła się łzami wdzięczności i szczęścia. Zanim Mały zdążył się domyślić,

dlaczego płacze, jego noga zaczepiła o coś twardego, chłopiec wyrznął o ziemię, i w tym momencie helikopter

helikopter, zdaje się, akurat wtedy buczał sobie, no... Tak jest, buczał. Pomyślałam jeszcze: z jakiej racji tak późno? Akurat wracałam z pracy, weszłam do sklepu, chleb wzięłam, kiełbasę i masło, no... I jeszcze coś, dokładnie nie pamiętam, paczkę makaronu czy coś takiego. Sklep jest akurat po drodze, koło szpitala, a ja wracałam ze szkoły, sprzątam tam. No, miałam łatwy dzień, wtorek znaczy, dzieciaki mają pięć lekcji, no to szybko wymyłam swoje klasy, no i kawałek korytarza, i poszłam. Akurat, gdy wyszłam ze sklepu, podszedł do mnie, w fartuchu takim zszarganym, w białych kalesonach, podwiązki na dole, przy ciżmach, a ciżmy takie... ostre na końcu, zdeptane niemożliwie, chydne jakieś takie obuwie, no... Nie wiem, czy długo mnie wypatrywał, jakkolwiek od razu się spytał: „Pójdiesz za trójaka?”. Aha, trzymał jeszcze butelkę wody mineralnej, „Drahowskiej”. Trójak, myślę sobie, drogą nie chodzi, przyjrzałam się – chłop niczego sobie, nie młodziak, ale i nie stary, na oko dwadzieścia siedem – osiem lat, no... Dlaczego nie, za trójaka można, myślę sobie, można i za darmo, gdy mam ochotę, a tu – za trójaka – można, no... „Szybcior z ciebie – ja do niego. – Może byś się jakoś nazwał na początek”. „Po cholere? – odpowiada. – Za mąż za mnie to się raczej nie wybierasz. A tak, to lwanem mnie wołają, ulżyło ci?”. Ze wsi jest, pomyślałam, od razu widać, że z lasu. Nie trzeba mu imienia ani rozmowy, dla przystojności, że tak powiem, dla kulturalności, wszystkim im tak robi ten szpital. I roboty z nimi – minuta, dobrze im stoi – prędko opada, żony zostawili w domu, jasna sprawa, no... Nie ma co długo gadać z nimi, nagadają się w pokojach z siostrzyczkami, dlatego powiedziałam: „Dawaj pieniądze!”. Pokręcił wzrokiem dookoła, że niby się zastanawia, no i po co się ogląda, bałwan jeden, kiedy gmach tuż obok, pięćdziesiąt okien, na pewno ktoś zobaczy, a ten głupek wytrzeszcza się, śmieszny z niego pacan. A po tym mówi swoim warczącym, wilczym takim głosem: „Pieniądze później!”. No jasne, czego tu oczekiwać od takich kalesonów i ciżem zdeptanych, przecież wiedziałam, że z góry nie da, szkoda czasu na pytania. „Dobra – mówię – wrócę za godzinę. Będę szła, a ty za mną, jakieś trzydzieści metrów”. „Dlaczego za godzinę? – spanikował ten wypierdek. – Umówiliśmy się od razu”. „Nie umówiliśmy się wcale. Popatrz, taśkę mam, to co, z nią pójde, czy jak?”. Odchodziłam już od niego, nie uciekałam, tylko po prostu odchodziłam, gdy zaszczał w ślad za mną: „Jak nie przyjdiesz, larwo, rozwalę ci mordę!”. Fe, cham, nienawidzę chamów, jednym słowem wiocha, wszystkie chłopcy są takie, od żony tylko dziury im potrzeba, a później to i skaleczyć mogą, i to ot tak sobie, no...

A wpaść do domu po prostu muszę, umyć się, miesiącka dopiero rano się skończyła, no i trzeba, żeby ten głąb, byk werchowyrński, ochłonął trochę, i produkty też, no... Dobrze, że matki nie będzie w domu, bo tylko zbędne słowa, poza tym przywykła już, i ja też przywykłam, i co jej do tego, przecież sama, gdy nocuje w domu, przyprowadza jakichś chłopów, wszystko pijane, oczy zalane po brzegi, z rana nie pamiętają nawet, co robili wieczorem, a ja nie przypominam, niech ich diabli. No a sama to wina nie tykam, co to, to nie,

raz spróbowałam, jeszcze w ósmej klasie, z początku było dobrze, wesoło, no i piłam te siki jak wodę, a później jakoś tak ohydnie się zrobiło, ale nie dlatego nie piję, że ohydnie, do wszystkiego można przywyknąć, po prostu nie chcę chodzić ulicą jak matka, że się sąsiedzi śmieją i wytykają palcami. Znaczy, nie piję, no... Wpierw schowałam produkty, przylezie matka, zacznie szukać, sama już od dawna niczego nie przynosi, cholera wie, co je i z czego żyje, od czasu do czasu gwizdnie mi masła i chleba, mówiłam jej, mam, przestałabyś pić, to i ojciec by może nie odszedł, a ona na to tylko fuknie i nic nie mówi, po prostu milczy. No a ojciec mój to niby normalny chłop, no... Za jedno jestem mu wdzięczna, że nie narobił matce więcej dzieci, no i nie mam, dzięki Bogu, zasmarkanych sępów na głowie, a tak – ożenił się jeszcze raz, to znaczy jak się ożenił, bez cerkwi i bez urzędu, ale żyje, co prawda, znowu kurwę wziął, ale żyje całkiem dobrze, no... Do Rosji pojechał parę razy, jako taki dom postawił, chałupa, rzecz jasna, ale da się żyć, nie pije, mówią, ciągami, tylko normalnie, kulturalnie, w święta, mnie, gdy widzi, jest dobrze, choć nie całuje, to parę groszy zawsze wciśnie. No i do diabła z nim, z ojcem, niech se żyje, dzieciaki chowa, trójkę ma, no i normalnie czyściutki takie – w szkole często widuję, kurwa czy nie – dzieci dopilnuje, no ale jak ma nie dopilnować – piąchę on ma, że hej, mamę strasznie tłukł, pamiętam, jak zwierzę, jak worek ze słomą, lecz niczego się nie dotknął, jednym słowem wino, no i dlatego właśnie nie piję.

No więc chleb i takie tam schowałam, wodę zagrzałam, umyłam się w miednicy, muszę być czysta, przecież chodzi o trójaka, no i, kto wie, może jeszcze kto się nawinie, zdarzają się takie dni, szczęśliwe, a dyrektor szkoły naszej, nie teraz, tylko jeszcze w zeszłym roku, gdy się uczę, wezwał do siebie, do pokoju i zaczął uczyć życia. Aneczko, mówi, źle się prowadzisz, lekcje opuszczasz, nie uczysz się praktycznie i nie bierzesz żadnego udziału w pracy w czynie społecznym. Do tego, mówi, chodzą słuchy, że zadajesz się z mężczyznami, młoda jesteś, musisz zadbać o matkę i o własną przyszłość, no i plecie tak, wymoczek jeden, a sam chudy jak szczapa, zęby zgniłe... A tu jego sekretarka przyniosła herbatę, babsko, że nie daj Boże, znaczy, jednocześnie jego żona, no, myślę sobie, taki twój zdechlaczek, jak komar do krowy, napieprza cię, prawie, nocami, właśnie tak, ale nic nie mówię, milczę, a dyrektorkę, widzę, zerka na moje nogi, tak raz po raz, niby że niechcący, no... Gdy wyszła ta krowa, pokazałam mu swój tyłek i sama z nim poszłam, bez słowa... O czym z nim rozmawiać? Co on wie o życiu? Oceny, lekcje – co mam z nimi zrobić? Nie zjesz ich, nie wypijesz, a ministrem nie zostanę, no... A mężczyźni przyciągają, co prawda, to prawda, nie wszyscy rzecz jasna, ale przyzwyczaiłam się, już nie zastanawiam się zbyt długo, a przywoływać ich się nauczyłam, szczególnie tych płochych, jak upodobam którego, od razu idę wprost na niego i się uśmiecham, otwieram usta, na ile się da, wtedy na pewno zagadnie, mam to sprawdzone, niejednokrotnie... Ale za darmo to był tylko pierwszy raz, nie jestem głupia, niby dlaczego ma być za darmo, niech płaci, jak chce się zabawić, już ja się postaram, by nie żałował, tylko z Motijem za darmo pójdę, kiedy tylko zechce, bo gdy zobaczę Motija, trzęsę się cała, raz tylko byłam z nim, i jak mnie dotknął, to, pamiętam, o mało nie zemdlałam, tak,

raz tylko byłam z nim, jakiś rok temu, zeszłej wiosny, na polu, i niczym tęcza do oczu zeszła, a w powietrzu nie było niczego, prócz tlenu, i ziemia pachniała

zmienia pachniała orną wilgocią, która sączyła się ze wszystkich jej pęknięć, góry zalegał śnieg, i Saszko wiedział, że jeszcze nieprędko przyjdzie ciepło. Powoli wracał ze szkoły do domu i próbował przeanalizować ten dzień, jakiś głupi i bezsprzecznie nieudany, gdyż dziś Saszko popełnił niezliczoną ilość błędów, dużych i drobnych.

Zacznijmy, pomyślał. Po pierwsze: wychowawca. Nie wiadomo, dlaczego wymyślił sobie, że Saszko miałby się przesiąść ze swojego ulubionego miejsca w kącie przy ostatniej ławie gdzieś do przodu. Przecież to byłaby utrata wolności! Walczył więc Saszko o swoje miejsce, jak tylko potrafił, odpowiadał nieuprzejmie, a na koniec trafił wychowawcę w czuły punkt, co było już całkiem zbędne. Powiedział mu, że te cholerne lekcje biologii wcale nie są mu potrzebne i że woli siedzieć w kącie, zajmując się swoimi sprawami i nie przeszkadzać innym. Po tym wychowawca opuścił siwą głowę i zaniechał dalszych bezskutecznych prób, przez chwilę Saszkowi zrobiło się żal nauczyciela, lecz szybko przypomniał sobie zasadę numer jeden: nigdy nie lituj się nad nikim, bo nikt nigdy nie zlituje się nad tobą. Tego nauczyły Saszka szachy. Najbardziej bolała ta historia z literaturą rosyjską. Dziś zaczął się Czernyszewski, Saszko do wczoraj nie przeczytał „Что делать?“, w związku z czym w ciągu jednej nocy dał sobie radę z tą książką. Czyli nie spał wcale. Sny Wiery Pawłowny i wszystko inne poplątało mu się i osiadło w mózgu jedną bryłą, natomiast szczegóły, drobne kamyczki, zginęły i już. Został wywołany do odpowiedzi. Dostyc długo wszyscy słuchali bełkotu Saszka, przerwano go bezlitosną diagnozą: „Садись, Александр, ты не читал „Что делать?“”. „Я читал” – twardo odpowiedział Saszko, wiedząc, że ma rację i że prócz niego nikt w całej klasie nawet nie spróbował przeczytać. Lecz nauczycielka, jego ulubiona nauczycielka, wzruszyła tylko ramionami.

Trzeci był konflikt z nauczycielką matematyki, który wybuchł niejako automatycznie i z inicjatywy samego Saszka. „Czy są liczby bardziej złożone od liczb zespolonych?” – spytał się Saszko, a haczyk polegał na tym, że on znał odpowiedź. Nauczycielka nie знаła. „Nie, nie ma” – powiedziała. „To czym jest na przykład tensor?” – podstępnie uśmiechnął się Saszko, i ten uśmiech spowodował przerwanie lekcji.

Po czwarte... Akurat to jest coś osobistego, jak to się mówi, subiektywnego, lepiej nie analizować tego, zachowywał się jak świnia przed sprzedaniem na bazarze, ale tutaj wszystko jakoś się naprawi. W ogóle nie trzeba o tym myśleć. O innych rzeczach w sumie też nie. Nikt mu nic nie robi, tylko jeden uczeń tej szkoły był na olimpiadzie ogólnokrajowej i tym uczniem jest on, Saszko.

Druga zasada, której nauczyły go szachy, brzmiała: do samego końca partii trzeba być optymistą. Saszko spróbował uśmiechnąć się do siebie.

I w ogóle, zanim zaczniesz myśleć o poważnych rzeczach, musisz zjeść obiad. Obiad czekał na niego w domu. I Fenimore Cooper. I Mercedes z Kastylii. I opisy podróży po Chinach.

Saszko wziął się za obiad, jeszcze gorący, zreżnicie umieścił przed sobą gruby tom i zapomniał o własnych problemach. Długo jadł i czytał, potem położył się, rozmyślając, co by tu jeszcze zrobić. Postanowił pójść na plac i porzucać do kosza piłką, nowiutką, brązowo-żółtą, prawdziwą piłką do kosza, niedawno ojciec dał mu ją w prezencie i Saszko wcale nie chciał, by na placu był jeszcze ktoś z chłopaków, chciało się pobyc z piłką sam na sam, okiełznać ją, pogłaskać, poczuć fascynację jej prawidłową okrągłością, prężnością, uległością... Saszko włączył magnetofon, poleżał jeszcze trochę i zaczął się przebierać. Nieufnie popatrzył na słabiotkie promienie słoneczne i założył swój niebieski wełniany dres, później trampki, miękkie chińskie, następnie ścisnął piłkę rękoma, przekonując się, że powietrze nie zeszło z niej wcale. Będąc już na podwórku, pomyślał o tym, że niedługo można będzie ustawić stół pingpongowy, po czym zamknął za sobą furtkę

furtkę, niczym nietrzeźwy gitarzysta struny, szarpał chłodny wiaterek, Wasyl przez kilka minut oglądał to podrygiwanie, jak gdyby w jakikolwiek sposób miało go dotyczyć, spojrzął na zegarek; patrzył na cyferblat długo i tępo, dopóki nie zrozumiał wreszcie, że wskazówki pokazują wpół do pierwszej. Przecież to niemożliwe, myślał, helikopter zawsze go budził, czyżby dziś tak mocno spał? Na szczęście, niczym to nie groziło, był poniedziałek, w poniedziałki ma wolne, nie ma lekcji, ale teraz, w tej chwili, natychmiast musi się czegoś napić... Tylko czego? Wrócił do pokoju, otworzył szafę, prawie w całości wypełnioną różnymi butelkami, i chociaż rozum podpowiadał mu, że w żadnej z tych butelek nie zostało nawet kropli alkoholu, instynkt zmusił Wasyla do przekonania się o tym... Przecież mam pieniądze, pomyślał Wasyl, trzeba pójść do gospodyni, ileż to jest jej winien? Zdaje się, za miesiąc lub dwa, zapłaci jej i poprosi o coś, ona na pewno coś ma, czarkę jaką lub szklankę wina, a może i całą flaszkę, którą on kupi, właśnie tak, świetny, wspaniały pomysł, tylko że gdzie on zapodział te pieniądze, gdzie je wcisnął, wczoraj jeszcze były, pamięta, że były, i to niemało, że dwie, a może i ze trzy setki, gdzie się one podziały? Cholera wie, ale przecież były, były na sto procent.

Powywracał kieszenie we wszystkich marynarkach, ale pieniądze znalazł w tylnej kieszeni jednej z par spodni, czyżby miał te spodnie na sobie wczoraj? To jest trochę dziwne, wczoraj była niedziela, a w niedzielę zwykł ubierać się inaczej. Tyle że teraz, w tej chwili, mówił sam do siebie, nie ma to żadnego znaczenia, trzeba kupić od gospodyni flaszkę i wypić ją, nie wszystko na raz, oczywiście, tylko po troszku, powolutku, bez pośpiechu, jak małe dziecko pije mleko ze szklaneczki, i wówczas zniknie ten dygot, to niedostrzeżenie, to niezrozumienie rzeczy dziejących się dookoła. A cóż się z tobą dzieje, Wasylu? Zadał sobie pytanie, przecież to nic szczególnego, stoisz na środku pokoju z plikiem pieniędzy w prawej dłoni i nie masz na sobie spodni. I czujesz się tak podle! Trzeba się ubrać, Boże, zaraz się przewrócisz, drżące palce nie potrafiły zapiąć koszuli, no i niech tam, to bez znaczenia, w męczarniach założył spodnie, następnie wsunął zdrętwiałe nogi w buty. Stąpając ostrożnie, wyszedł na podwórko, nie zdając sobie sprawy ani z wiosennej wilgoci dnia, który już nigdy nie nastąpi, nie wróci, podobnie jak zrodzony ze słońca promień światła, ani zalotnego nastroju kurtyzany wiosny, która już zaczęła prowadzić

z ludźmi coroczną zwodniczą grę uczuć; gospodyni stała na środku podwórka w starym, podartym w kilku miejscach fartuchu, w kapciach, które tak dawno utraciły kolor i wygląd, że nie miało to już żadnego znaczenia, i sypała ziarno kurom, wołając je cip, cip nieprzyjemnym przepalonym głosem. Jej nieuczesane, zmierzwione włosy i malutkie oczy, które okalała głęboka, nieodwracalna już czerń, przerażyły Wasyla, przez moment wydawało mu się, że ma przed sobą wiedźmę, i przez ten moment przestał rozumieć, na jakim świecie się znajduje. Znajomy, prujący powietrze głos wyprowadził go z tego stanu:

– To pan jeszcze w domu, Wasylu Iwanowyczu? A co z lekcjami?

– Dziś nie mam – odpowiedział ostatkiem sił – dziś jest poniedziałek.

Zmierzyła go długim, dziwnym spojrzeniem, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale przemilczała.

– Mam u pani dług, chcę zapłacić – powiedział tak cicho i niewyraźnie, że gospodyni ledwo usłyszała.

– Za mieszkanie?

– Tak, za mieszkanie.

– Niedługo przyjdzie lato, dostanie pan urlopowe, to zapłaci pan od razu za całość. Dla mnie też lepiej, bo pieniądze w kupie.

– Dobrze – wybełkotał Wasyl obojętnie i od razu poczuł się tak, jak gdyby się zmniejszył, zmałał, skurczył, nawet w takim stanie było mu ciężko o coś prosić, to było nieładne, poniżające, jak gdyby leciał głową wprost w kurzy pomiot, którego było na podwórku pod dostatkiem. – W takim razie... Wie pani... Może ma pani jakąś flaszeczkę, nieważne czego, to bez znaczenia, ja zapłacę, ile pani sobie zażyczy, wszystko jedno ile...

Gospodyni wnikliwie zbadała lokatora leniwym, zasnętym wzrokiem, spojrzała nieprzemytymi jeszcze oczyma, odnotowując rozsznurowane buty, rozpięty rozporek (ciekawe, na czym trzymają się te spodnie?), pociętą skórę na policzkach, pociętą nie dziś, tylko wczoraj lub nawet przedwczoraj, westchnęła i w milczeniu weszła do domu.

Wasyl nadal stał w żałosnej pozycji petenta, wydawało się, że nie oddychał, i jedynie pytania ciężko, lecz szybko krążyły mu po głowie: wyniesie? nie wyniesie? wyniesie? nie wyniesie?

Gospodyni wyszła, a wraz z nią oczom Wasyla ukazała się czarna jak noc flaszka, zadrżał, serce zakołatało bardzo szybko, niczym koła rozpędzającego się pociągu; ręka, nieśmiała, niepewna, sama wysunęła się naprzeciw, Wasyl wcisnął w dłoń swej wybawicielki sponiewierany papierek, nie patrząc nawet jaki, chwycił flaszkę i poszedł do siebie, o mało nie wywracając się o jakąś miednicę dla kur i nie słysząc, bądź nie chcąc usłyszeć, obojętnych słów rzuconych w ślad za nim:

– Dałby pan sobie spokój z tym, Wasylu Iwanowyczu, przecież dopiero co pan wstał. Niech pan się chociaż postara i nie przesadzi... Poza tym, wie pan, wtorek dziś mamy, nie poniedziałek.

Wasyl ostrożnie niósł dopiero co zdobyty skarb, znalazł jakąś szklanekę, nalał po brzegi, wypił... Było mu ciepło i niedobrze, do mózgu dostała się jakaś nieprzyjemna fala, nie poczuł żadnej ulgi.

Położył się na łóżku, w środku poruszyło się coś nieprzyjemnego, ciężkiego, niepokojącego... Myśli zaczęły taranować się nawzajem, tłuc się z hucznym brzękiem i spadać na podłogę, niewykorzystane, nieuporządkowane. Takie jest życie, puste jak ta szklanka, jak butelki w szafie, i nie tylko twoje życie jest takie, lecz każdego, każdej, wszystkich, tyle że nie wszyscy to rozumieją, nie chcą lub nie potrafią zaakceptować je takim, jakie jest, nie przyznają się, że jest właśnie takie, chodzą do cerkwi, mają jakieś nadzieje, udają, że niby coś wiedzą, bałwany, niezdary, nieczne istoty, nigdy nie przyznają się do własnej nikczemności, prymitywizmu, mały w butach, oszukują się tylko, wypełniając dni jakimiś bezsensownymi działaniami, napięciem lub spokojem, aby przeżyć jeszcze jeden dzień, i jeszcze, i jeszcze, tak jakby na końcu była jakaś nadzieja, jakiś cud, tyle że czasu nikomu jeszcze nie udało się oszukać. Planck, Bohr, Heisenberg, Dirac – co za umysł! I co z tego? Zajaśniały, niczym błyskawica na nocnym niebie – i koniec, i pustka, i nazwisko z dwoma liczbami przedzielonymi myślnikiem, jak gdyby nigdy nic, dla nich, dla ciebie, dla wszystkich, wszystko to marność, praca, jakieś odkrycia, jakieś tajemnice natury, czyjeś hałaśliwe dzieci i czyiś milczący dziadkowie... Odnaleźć zapomnienie w słodkich snach miłości, żyć dniem dzisiejszym, byle nie wczorajszym czy jutrzejszym, nie zwracać uwagi na nieodwracalny upływ czasu... Ale gdzie, gdzie ona jest, ta miłość? Dlaczego ciebie ominęła? Dlaczego nie ukoita? Nie założyła kaffa-na bezpieczeństwa na twoje myśli? Nie zatrzymała w swoich sieciach twoich zwątpień? Nie pomogła przebrnąć przez monotonię? W ogóle zapomnieć o istnieniu...? Czy naprawdę każdy ma swoje przeznaczenie, które żyje w środku własnym życiem i którego jeszcze nikomu nie udało się oszukać? I czy twoim przeznaczeniem rzeczywiście jest ta flaszka? Szklanka? I niczego prócz tego nie ma?

– Nie ma co, poszczęściło się Małemu – powiedział, nie kryjąc zazdrości, Szary. – Latem są mistrzostwa świata w Anglii, obejrzy sobie spokojnie.

– No pewnie – zgodził się Haska.

Myszko Schweigermann szybko wrócił do poprzedniego tematu rozmowy, ponieważ u nich w domu już od jakichś dwóch lat stał telewizor:

– Nigdy nie złapiesz jej rękoma.

Haska rozgorączkował się na poważnie, niczym dorosły:

– Nie złapię? Łapałem już. Minionego lata. Pod jedną płytą było ich aż trzy, dwie czmychnęły w trawę, a trzecią złapałem.

– Przecież one są jadowite – z niedowierzaniem dorzucił Szary.

– Pewnie, że jadowite. Po prostu trzeba wiedzieć, jak się łapie. Za ogon i głowę w dół. Są krótkie i nie mogą ukąsić.

– Słyszałem, że są czerwone – spytał się Myszko Schweigermann, postanawiając nie kłócić się dalej.

– To nie widziałeś jeszcze tych żmijek? – zdziwił się Haska. – Gdy zrobi się ciepłej, pójdziemy i pokażę wam. Są takie ciemnoczerwone, mówi się na nie „miedzianki”.

Szary aż wzdrygnął się.

– No, mnie to nie interesuje. Boję się ich.

– No jasne – zaśmiał się Myszek Schweigermann. – Jesteś tu znanym tchórzem.

Nie wiedzieć czemu, Myszek Schweigermann jako jedyny z chłopców mógł otwarcie mówić, co myśli.

– Do czego pijesz? – skupił się wewnętrznie Szary.

– Nie pamiętasz? W zimie, na zaporze. Ta skocznia wśród krzaczorów. Nawet Mały się nie przestraszył. A ty stałeś na górze i tylko bluzgałeś po każdym skoku. Myślisz, że zapomniałem?

Szary zacisnął pięści, spiął się nerwowo, usiłując coś odpowiedzieć, ale nic sensownego nie przyszło mu do głowy. Zresztą wszystko, co powiedział Myszek Schweigermann, było najprawdziwszą prawdą. Szary nie lubił wspominać o tym, a gdy już wspominał, przysięgał sobie, że następnej zimy skoczy...

– A co powiesz na to, Myszek, że dam ci zaraz w zęby, co? – niespodziewanie, mimochodem wyrwało się Szaremu.

– Wytrzym mleko pod nosem – leniwie rzucił Myszek Schweigermann.

– Co za głupcy – zaśmiał się Haska. – Głupi głupcy. Popatrzcie lepiej tam – piłka idzie.

Chłopcy zobaczyli Saszka, a pod pachą Saszka ujrzeni cud piłkę, która świeciła im teraz jaśniej niż słońce w czerwcu; skórą czuli wabiące kolory, ciężar pod swoimi rękoma i przemożnie zachciało im się dotknąć jej, pokozłować na wilgotnym jeszcze piasku placu, trafić do kosza.

– To co, zagramy? – z daleka zawołał Saszka Haska; ten zwolnił kroku, nie odpowiadając od razu, zastanawiając się, co by tu wymyślić, żeby zbędnych w tej chwili kolegów, jednak okazało się, rzecz jasna, że nie da się tego zrobić, idąc z piłką do kosza pod pachą w stronę placu, Saszko powiedział:

– Za chwilę, muszę się trochę rozgrzać.

– Co za kutwa – splunął Szary.

– Rozgrzewaj się, rozgrzewaj – cicho dorzucił Myszek Schweigermann, tak żeby Saszko nie mógł tego usłyszeć – może zrzucisz co nieco z tej dupy.

Haska zaśmiał się, natomiast Saszko nic nie słyszał i był zły na chłopców, którzy przeszkodzili mu dziś w samotności, tak bardzo nie chciał dzielić się z kimś piłką, przynajmniej nie za pierwszym razem...

– Musimy się zrzucić i kupić gdzieś piłkę – podrzucił dobry pomysł Szary.

– Ha, i zaraz cały plac będzie ją kopał. Wiesz, co zostanie z tej piłki po trzech dniach?

– Jeśli z plandeki, to nawet jednego dnia nie przetrwa – powiedział Haska.

– Potrzebna jest prawdziwa piłka, futbolówka – powiedział Myszek Schweigermann.

– A to może załatwić tylko wujek Matego.

– Przecież nie będziemy całe lato siedzieć bez piłki – powiedział Szary, i nie było jasne, czy zgadza się z Myskiem Schweigermannem, czy też upiera się przy swoim.

– A na razie chodźmy rozkułaczyć Saszka, pobiegamy dwóch na dwóch. Popatrzcie tylko na to boisko, jak przyciąga, a wygląda, jak po umyciu

po umyciu się i poszłam, i serce wcale się nie niepokoiło, ani ociupinkę, prędeż już bało się tego przygłupa chutorowego, nie wolno się nie bać takiego, od dawna już baby nie widział, zobaczy gołą nogę i zbkkuje, nie ma co, jasna sprawa, od takich można oczekiwać wszystkiego, a i doświadczenie już mam, no... Ale przecież trójak, pieniądze mi potrzeba, człowiek bez pieniędzy to nie człowiek, a jak się te pieniądze zarabia, to już inna rzecz, przecież nikomu nic nie kradnę, nie oszukuję... A jednak strach.

Wysłałam na ulicę, piękna pogoda, jak w jakiejś fajnej bajce, tyle że kto mi te bajki opowiadał? Nie wiem nawet, dlaczego przypomniała mi się bajka, przecież niewiele ich słyszałam... No więc pogoda była ładna, głupie wróble ćwierkały, a nad szpitalnymi topolami krążyły kruki, cicho, bez krakania, to wieczorem wrzeszczą one na sto głosów, ohydnie tak, paskudnie. No więc idę ulicą, świeża, czysta, i czuję na sobie spojrzienia z okien, i tak jakby słyszę, jak mówią: „O, znowu poszła gdzieś, kurwa jedna!”, ale nic mi do tego, nie interesuję się, ja muszę zapłacić w sklepie za kietbasę, i za sweter, za koszulę, ten osiłek nie interesuje mnie wcale, nawet się nie denerwuję, tyle że idę ostrożnie, bo nie jest to prosta sprawa – dostać trzy ruble od takiego cymbała, no... Już go widzę, stoi w swoich przydeptanych butach i w tym fartuchu niebieskim, gały wytrzeszcza, byłoby jeszcze lepiej, gdyby stał na głównej ulicy, żeby mogli go zobaczyć nawet ci, którzy nie chcą, no ale głupiec pozostanie głupcem, ciekawa jestem, czy ma w gaciach te trzy ruble, zaraz się dowiem i zobaczymy, co dalej i jak, zrobię mu dobrze czy nie, no a sama niczego od niego nie potrzebuję, no... W tym sensie, zapewne niemyty jest, może ze dwa razy umył się w rzece, tego mi jeszcze brakowało, bym złapała coś, no dobra, zobaczymy, jak śmierdzi, to niech idzie z tymi swymi trzema rublami do doktorki czy też pielęgniarki, one go umyją, no i może pobawią się trochę, jeśli jest czym się bawić.

No więc podchodzę do niego, a on przewierca mnie na wylot tymi swoimi koźlimi oczami, a pod brudnymi kalesonami, widzę, urósł już pagórek, niepośledni ma sprzęt, ani chybi cały rozum w nim trzyma. „To gdzie pójdziemy?” – pyta zachrypniętym głosem. „A gdzie chcesz iść?” – pytam się i ja, a oczami już, czuję, zagrałam wbrew własnej woli, z przyzwyczajenia, pewnie przez ten pagórek, a on to zauważył, baran bezrogi, i mówi: „Przecież umawialiśmy się”, a głos ze zdenerwowania rzezi mu jeszcze bardziej, kiepska sprawa, jeśli to psychol. „Pieniądze masz?” – pytam. – Wpierw dawaj pieniądze, dopiero potem pójdziemy”. No i – cud! – bez żadnego gadania wyjął trzy osmolone papierki, po jednym rublu, znaczy, i dodał: „Jak będziesz dobra, dorzucę jeszcze jeden taki”.

Co za chłopt! Może nie jest aż tak głupi, rozumie, o co chodzi, no i wszystko to uspokoiło mnie, uspokoiło i zaciekawiło, nie ma sensu ciągnąć tego dalej; schowałam te trzy papierki do kieszonki pod sukienkę, mam taką specjalną, spięłam agrafką i poszłam, kiwnąwszy głową, a on polazł za mną, niczym głodny pies za panem.

Ciekawe, która to już godzina? Po naszymu gdzieś około czwartej, czas niezbyt udany, teraz na placu pełno chłopców, a mus mi iść obok nich, do samego rogu, gdzie pogranicznicy trzymają nasmołowane bierwiona, tam jest spore wgłębienie, pomiędzy bierwionami a płotem, i trawa jest też, jak już wyjdzie, to gdzie zechce, i niech diabli porwą te chłopczyśka, przecież nie pierwszy raz tam idę, tylko czy ten zalotnik przypad-

kiem nie spanikuje? Znowu przypomniał mi się ten pagórek pomiędzy jego nogami, i to, że rubel obiecał, i nagle nabrałam ochoty, ciepło rozlało się po piersiach, czemu nie, co w tym złego, przecież mężczyźni lubią, jak pojęczysz od czasu do czasu, że niby dobrze ci, niby rozkosz, może i pocałuję go w tego pąka, może polizę trochę, niczym loda, to i dobrze mu będzie, na pewno, no i wtedy może co dorzuci, rubla czy dwa, a piątką to już oho-ho, duże pieniądze, no... No i sama się trochę zabawię, prawdę mówiąc, dawno już nie czułam tej słodkiej fali, może właśnie teraz nadarza się ku temu okazja, no, wkrótce zobaczymy.

Chłopców na placu nie było, wszystkie boiska puste, dwa do siatkówki i dwa do kosza, a na dużym boisku grają rzadko, tylko latem, gdy mają jakieś mistrzostwa piłkarskie, więc postanowiłam się obejrzeć za swoim osiłkiem, no i nie uwierzyłam własnym oczom – nie było go widać. Zatrzymałam się, spróbowałam ruszyć swoją biedną główką, aż pojawił się, wybrnął zza rogu, a oczami aż rzucał na boki, jakby miał ich nie dwie sztuki, tylko dobre dwie steki, przestraszył się, myślę, czy co czy też sumienie dało się we znaki przez te kilkaset metrów, co to powtóczył się za mną, bywa i tak, spotkałam się, do małżonki trzydzieści kilometrów, chce mu się, jak kotu na wiosnę, ale nie, ma sumienie, hańba i w ogóle, i w ostatniej chwili topnieje od tego sumienia jak tłuszcz na patelni... Ten jednak idzie, jak przez pole minowe, ale idzie, aż zrobiło mi się go żal, przecież jest nieszczęśliwy, przecież znowu nic takiego strasznego nie robi, nic złego, jego ciało i ten sprzęt razem z nim należy tylko do niego, nie do żony czy też dzieci, dla przykładu, teraz, co najwyżej, zabrał te trzy ruble dzieciom, no, zabierze jeszcze dwa, ale koniec końców to on sam zarobił te ruble, nie wujek, no więc ma prawo do jako takich uciech, pomiędzy bierwionami a płotem, na piasku czy też na trawie, dziw nad dziwy, koń chce kobyły, tfu, w ogóle nie ma o czym mówić, no i za chwilę dostanie ode mnie coś takiego, czego od małżonki nie dostał przez całe życie, zaraz go trochę wzmocnię, zgmiotę to głupie sumienie swoim gorącym, niczym roztopiony wosk, językiem

– Język trzymaj za zębami – ze złością powiedział Myszko Schweigermann. – Przegraliśmy zaledwie jednym punktem.

– Bo chciałem, żebyście przegrali zaledwie jednym punktem – uśmiechał się Saszko.

– Nie po prostu przegrali, tylko jednym punktem, rozumiesz? To mnie bardziej bawi.

– Uhu – mruknął Haska, który grał z Saszkiem. – Mnie też.

– Lepiej wytrzyj nos – powiedział Szary. – Chodź, zagramy jeszcze raz do dwudziestu, co? I żebyśmy znowu nie przegrali jednym punktem.

– Na dziś już dość – zaprzeczył Saszko. – Mięśnie trochę bolą.

– Tobie, szczerze mówiąc, nie zaszkodziłoby – parsknął Myszko Schweigermann.

– O co ci chodzi? – poderwał się Saszko, był rówieśnikiem Myszka Schweigermanna, Myszko uczył się klasę niżej z powodu jakiejś dziecięcej choroby.

– W sumie o nic – neutralnie odrzekł Myszko Schweigermann, patrząc na góry po drugiej stronie granicy. – Przecież to nikomu nie zaszkodzi.

– No, no – wycedził Saszko.

– Dajcie już spokój – powiedział Szary. – Dość już kłótni na dziś. Zagrajmy lepiej w karty, w durnia dwóch na dwóch.

– Kupilibyście przynajmniej porządne karty – powiedział Saszko, patrząc na to, co Szary wyjmuje z kieszeni.

– Nie wszyscy tu arystokraci – powiedział Myszko Schweigermann.

– Dajcie spokój – powiedział Szary. – No, kto z kim gra?

– Ja nie gram – powiedział Saszko, pilnując, by nikomu nie przyszło do głowy usiąść na piłce.

– Mi się też nie chce – powiedział Myszko Schweigermann.

– Patrzcie, kto idzie – powiedział Haska.

– Hanusia... Gdzie ona idzie? – zdziwił się Szary.

– Tam, gdzie są te nasmołowane kłody – powiedział Myszko Schweigermann.

– Ale co, sama?

– Nie – zaprzeczył Myszko Schweigermann. – zaraz zjawi się jej klient. Taki ma styl, konspiracja.

– I co tam będą robić? – zapytał Haska.

– Będą patrzeć w niebo – obojętnie rzucił Saszko, zastanawiając się, jak się stąd zmyć.

– Dlaczego ona to robi? – powoli ciągnął Szary – dla zarobku, czy co?

– Nie tylko – mruknął Myszko Schweigermann. – To zajęcie bywa bardzo przyjemne.

– Dużo wiesz, Myszko – burknął Saszko.

– Ano dużo. Mamy w domu książkę. Grubaśną. Wydanie z roku czternastego. O mężczyźnie i kobiecie. Czytam ją, gdy rodzice nie widzą.

– To rzeczywiście jest takie ciekawe? – spytał się Szary.

– Jasne, że ciekawe – odrzekł Myszko Schweigermann – można się tam dowiedzieć wielu nowych rzeczy. Czy wiesz, na przykład, co to jest łechtaczka?

– Łechtaczka? – niepewnie powtórzył pytanie Szary – coś tam słyszałem... Aha, to chyba coś związanego z żaglowcami.

Myszko Schweigermann i Saszko popatrzyli na siebie, po czym głośno i niespodziewanie rozrechetali się

rozrechetali się, ćwoki, nie od razu zrozumiał Wasyl, dzieci jakiegoś, nigdy nie dadzą spokoju, w szkole ani w domu, głowa jak gdyby nie własna, nie boli, ale coś w niej cięży, coś mglistego, no i w butelce zostało już niewiele... Ile? Niecała szklanka, trzeba coś zrobić, bo zbliża się wieczór, a po nim noc, i zostaniesz sam ze swoimi myślami, i będzie ci niedobrze, bardzo niedobrze...

(W ciągu tych kilku minut, kiedy to oprzytomniał i odzyskał zdolność myślenia, Wasyl przypomniał sobie, że spora kwota pieniędzy, która znalazła się w jego kieszeni, to nic innego jak składki na związek zawodowy, przekazane mu przez kolegów w piątek i w sobotę; drugim odkryciem było to, że dzisiaj naprawdę jest wtorek, nie poniedziałek, poniedziałek musiał gdzieś przehulać, przepić czy przespać, lecz gdzie dokładnie i jak – w tej chwili było to dla niego nierozstrzygalne; trzecim – helikopter, który z nieznanym

przyczyn przyleciał po obiedzie, w dalszym ciągu stał pośrodku placu, co było bardzo dziwne, ponieważ zwykle helikopter lądował, wyrzucano z niego worki z korespondencją i od razu leciał sobie dalej, czynność ta zajmowała kilka minut).

Wlał resztki wina do szklanki, wychylił ją i zaczął szykować się do sklepu, myśli przeskadzały mu, nie mógł się skupić na jednej rzeczy. Jednak trzeba iść. Ma jeszcze trochę energii, więc trzeba pójść i kupić fłaskę albo i dwie, bo czeka go noc, a jutro... Jak on pójdzie jutro do pracy? I jak wytłumaczy, dlaczego nie było go dziś? Myśl o szkole przyprawiała go o mdłości, nic to, przekaze przez kogoś, że choruje, tylko przez kogo? Rozwiązanie znajdzie się jutro, wszystkie rozwiązania przychodzą w ostatniej chwili, poczęcie i śmierć, świat jest wielki, nielogiczny, niedobry, głupi i w ogóle nie rozumie, dokąd idzie i czy jakkolwiek cel przyświeca tej całej udręce, temu bólowi, tym mękom, chwileczkę, muszę wziąć jakąś torbę, przecież nie będzie niósł butelek w rękach, jak jakiś alkoholik... Po dziesięciu minutach poszukiwań znalazł jakąś awośkę¹, włożył do kieszeni i, usiłując iść równo i prosto, ruszył w kierunku ulicy.

Ulicy, pomyślał. Tak, ulicy. Ale przecież ty nie mieszkasz na ulicy. Nawet to u ciebie jest na opak, a nie tak, jak u wszystkich normalnych ludzi (już zamknął za sobą furtkę, przed nim rozpostarł się niepowtarzalny, wolny świat gór i Cisy, ziemi i nieba, z tego świata można było spijać rozkosze szczęścia, życia, radość nieskończoności, ale alkohol nie pozwalał zobaczyć tego wszystkiego, więził człowieka, a to więzienie człowiek nosił w sobie i było ono najstraszliwsze ze wszystkich więzień świata). Wszystko masz na opak. Wszystko jest u ciebie na opak. Nie masz żony. Nie masz dzieci. Nie masz nawet żadnej kochanki. Jesteś samotny jak grzyb w lesie. Nawet nie: jesteś bardziej samotny niż grzyb w lesie. Twoje życie to mieszanka niezrozumienia z nieporozumieniem. Nawet mieszkasz nie na jakiejś ulicy, tylko na placu. Gdzie mieszkasz? Na placu. Gdzie idziesz? Na plac. Ale dlaczego to się nazywa plac? Wasyl usiadł na żółtozielonej trawie, w jego szklistym wzroku kontury gór zmieniały kształty, ulegały deformacji, w jego wyobraźni góry żyły jakimś cudacznym, chimerycznym życiem, jak gdyby krajobraz ulegał zmianom nie w ciągu dziesięciu tysięcy lat, tylko w ciągu sekundy. Trzeba to rozstrzygnąć. Czym jest ten plac? Trzeba podać definicję tego placu. Tak postąpiłby Descartes. Tak uczyniłby Euler. Czy, powiedzmy, Landau. No dobra. Spokojnie. Oddychaj równiej i zapomnij o tym, że ci jest niedobrze. No więc, podaj definicję placu. Jest to część terenu. Oho, dobre, udane i krótkie. Jest to część terenu. Wytyczonego, od jednej strony przez budynki, w których mieszkają ludzie. W których mieszkają ludzie – zbędne. Po prostu budynki... W których mieszkają ludzie psuje definicję. A więc to jest zbędne. Po prostu: Plac – jest to część terenu, wytyczonego, od jednej strony, przez budynki, od drugiej zaś... Zaczekaj, to jest nieprecyzyjne. Przez budynki – zgadza się, ale ile jest tych budynków? To ma duże znaczenie dla definiowania. Duże. Właśnie. Bo trzeba precyzyjnie, solidnie, jak Descartes czy Cauchy, czy też Poincaré. Wasyl zaczął liczyć budynki z pamięci, ale nie potrafił doliczyć więcej niż do sześciu. Powtórzył to kilka razy. O dziwo, w kolejnych próbach

¹ awośka – siatka na zakupy. Przyp. tłum.

zatrzymywał się już na czwartym. Dobra. Zostawmy to, powiedział sam do siebie. Policzę to później. Wróćmy do Placu. Plac. Plac... Powtórzył to słowo wiele razy, aż wreszcie straciło dla niego wszelki sens, rozpadło się na litery, jak chmura rozpada się na krople deszczu. Wróćmy do definicji, jak tam szło na początku? Aha, jest to część terenu, wytyczonego, od jednej strony, przez budynki... Niedobrze, nie najlepiej... Od której strony? Po pięciominutowym zawahaniu zdecydował, że od północnej. Właśnie, od północnej. Czyli: Plac – jest to część terenu, wytyczonego od strony północnej przez budynki, pomiędzy budynkami wychodzi na plac ulica. Głębokie, przecież należy uwzględnić również ulicę, pomyślał. Niewątpliwie należy. Ulica jak ulica. Szerokość około dziesięciu metrów. Grunt jest dobrze udeptany, twardy, bo kiedyś, przed wojną, na Placu było targowisko. W zimie, co prawda, ciągle jest błoto. Na jesieni i na wiosnę również. Ale z punktu widzenia definicji to nie ma znaczenia. W takim razie od początku: Plac – jest to część terenu, wytyczona od strony północnej przez budynki, a także koniec (tak, koniec będzie dobry) ulicy, od południowej zaś przez przygraniczne ogrodzenie z suchych gałęzi... Zaczekaj. Dlaczego suchych? Chyba nie są suche, gdy pada deszcz? Czyli to głupstwo. Głupi jesteś, już dawno dostałbyś pałę na egzaminie. Podać tak prymitywną definicję! Całe twoje nieszczęście polega na tym, że jesteś głupi. Nikogo nie kochasz. Ani dzieci ze szkoły, ani jakiejś kobiety, tylko wlewasz w siebie litry „biomycyny”. Robisz z siebie pośmiewisko, chodzisz po ulicy tak, jak marynarz po pokładzie. Trzeba żyć jak wszyscy inni. Chodzić do pracy. Modlić się z rana i wieczorem. Ożenić się. Narobić dzieci. Równie głupich i nikomu niepotrzebnych. Nieszczęśliwych. Nieszczęście człowieka zaczyna się z chwilą narodzin – czyż to nie jest jasne? Ależ oczywiście, jasne jak słońce. Urodzić się. Żyć. Umrzeć. O życiu człowieka, każdego, można opowiedzieć w bardzo prostych słowach. Urodził się, żył, umarł. Lub: urodził się, żył, żył i umarł. W najlepszym przypadku: urodził się, żył, żył, żył i umarł. I tyle. Nic więcej. Głupotą byłoby coś dodawać. Co robił, co osiągnął i tak dalej. Bo człowiek robi w życiu to, co wyznaczył mu los. Jeden przez całe życie śpiewa, drugi przez całe życie kopie doły. To zależy od tego, co człowiek dostanie od Boga, nie ma w tym żadnej zasługi człowieka. Nie ma wcale. A ciebie, Wasylu, Pan Bóg stworzył pijakiem, więc nie masz siły przestać, nie możesz mieć tej siły, bo taki jest twój los, i w tym również nie ma żadnej logiki, to twój los i tyle.

Wróćmy do definicji. Riemann żył czterdzieści lat. Był twórcą wielu definicji. Wycisnął z siebie wszystko, co dał mu Bóg, więc nie było sensu żyć dalej... Zaczekaj. Przecież mówiłeś, że w ogóle nie ma sensu. Rzeczywiście, nie ma, w tej definicji również nie ma. Ale trzeba go nadać, ponieważ ty, Wasylu, mieszkasz tu. Wracaj do definicji. Wracaj do definicji.

Plac – jest to część terenu, wytyczonego od strony północnej przez budynki i końcowy fragment ulicy, od strony południowej przez przygraniczne ogrodzenie z dosyć grubych gałęzi, od zachodniej przez jeszcze jedno ogrodzenie strażnicy pogranicznej zrobione z porządných desek, natomiast na wschodzie jest wąskie przejście o szerokości trzech metrów (później zmierzę dokładnie), ujście, które wyprowadza z Placu. Długość Placu

wynosi czterysta metrów, szerokość (przeciętna) sto metrów. Plac jest podobny do tafli jeziora, gdy ogląda się go z góry. Aha. Jeziora. W którym się utopisz.

Wiesz, czym jest ta twoja definicja? – zapytał siebie samego. To kompletne zero. Pustka. Beknięcie prymitywnego umysłu. Do tego okaleczonego przez alkohol. Jesteś niczym. Pustym miejscem. Kupą kości z naroślami mięsa. Co prawda, wątroby już raczej nie masz. Nic ci się nie chce. Z niczego nie jesteś w stanie się cieszyć.

Chcę wytrzeźwieć, krzyknęło coś w środku Wasyla. I już nigdy, nigdy więcej nie tknę kielicha. A coś innego zaprzeczyło: po raz tysięczny to mówisz, ty słaby, nikczemny człowieku.

Dobra, koniec z definicjami. Gauss nie pozostawiłby z tej definicji kamienia na kamieniu. Ale przecież ty nie jesteś Gauss. Jesteś Wasyl Iwanowycz. Musisz iść do sklepu. Bo czeka cię bardzo długa noc.

O mało nie przewrócił się, podnosząc się z ziemi. Zrobił krok i zachwiał się. Nie, w takim stanie nie dojdzie do sklepu. Musi się jeszcze napić. To mu ulży. Wróć siłą, tylko musi się napić. Ale czego?

Wasyl wrócił, otworzył furtkę, niczym pijany pianista pokrywą fortepianu, i, nie czując szczytkowych nawet wyrzutów sumienia, poszedł prosto do domu gospodyni. Zapukał. Kobieta miała na sobie ten sam fartuch, co przed obiadem, te same pantofle i tak samo obojętnie, śpiąco patrzyła na lokatora. Zapytała go:

– Jak tam, Wasylu Iwanowyczu? W miarę doszedł pan do siebie?

– Jeszcze bym... tego, faszeczkę.

– O Boże, pan chyba chce się wykończyć.

– Nie, nie, niech mi pani uwierzy, tak będzie lepiej. – Wasyl wyjął czerwony papierek i położył go na stole. – Reszty nie trzeba.

Jęcząc i stękając, ukradkiem zerkając na dychę, kobieta wyszła i prawie natychmiast wróciła:

– Proszę, niech będzie, skoro pan nalega.

– Dobrze – wybełkotał Wasyl – jeszcze jedno, bardzo bym prosił o odkorkowanie.

Kobieta przyniosła nóż, zapewne tępy, i przez kilka minut nieporadnie poczyniała sobie z plastikowym korkiem.

– Proszę.

– Dziękuję – powiedział Wasyl, podniósł butelkę do ust i wlał w siebie połowę. Gospodyni patrzyła na to wszystko z nieopisanym przerażeniem, jak gdyby znalazła się w jednym pokoju z wariatem. Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła, tylko patrzyła w milczeniu.

– Zostawię to tutaj, wpadnę później i zabiorę – powiedział Wasyl, stawiając faszeczkę na stół.

– O nie, Wasylu Iwanowyczu, lepiej niech weźmie pan ze sobą. A dokąd się pan wybiera?

– Do sklepu.

– Jasne. Ale faszeczkę niech pan zabierze, za kilka minut wychodzę do siostry.

Nie mówiąc nic, Wasyl wziął butelkę i poszedł z nią do swojego mieszkania. No właśnie, powiedział do siebie, miałeś rację, teraz chód jest równiejszy i ruchy już nie męczą. Dobrze, żeś się napił. Zostawił butelkę u siebie za progiem, zamknął drzwi na klucz i podejrzanym krokiem doczłapał się do furtki. Nie rzucało nim w lewo lub w prawo, pilnował tego, dziwnym trafem ciągnęło go do tytu, przez co jego kroki przypominały kroki żołnierzy w czasie defilady. Wasyl wyszedł na plac, chciał skręcić w lewo, lecz jego uwagę zwróciły dziwne manewry kilku chłopców. Zatrzymał się i postanowił trochę zaczekać, popatrzeć, co z tego wszystkiego wyniknie.

rozrehotali się ci chłopcy, pewnie za granicą ich słysząc, jednak są tutaj, ten plac to dla nich jak dom, no i dobra, po prostu trzeba iść spokojnie, powoli, bo jeszcze ten mój chudopachotek naprawdę się wystraszy, a tak po prostu to ja niczyich pieniędzy nie potrzebuję, no więc idę sobie powoli, a do dołka zostało już jakieś trzydzieści kroków

rozrehotali tam się jacyś gnoje, szlag by ich trafił. Może z niej się śmieję? Może wiedzę? Co mi do tego, mnie tu nikt nie pozna. A koledzy z pokoju mówili, że wszystko, larwa jedna, dobrze robi. Trzeba ją dogonić, po co iść osobno?

rozrehotali się tam pod dębem, pomyślał Mały, wyglądając z podwórka. To znaczy, że jeszcze tam są, że nie poszli do domu. Przydałoby się skoczyć do nich na parę minut, przecież przyjęli do drużyny. Piłkę wujek załatwi – głowę dając, sam tak powiedział.

Nagle Mały zauważył zupełnie nieznanego mu mężczyznę, było oczywiste, że jest ze szpitala, fartuch urzędowy, niebieski. Mały widział, że ten przyspieszył krok i podąży za jakąś dziewczyną. Idą do rogu z bierwionami, domyślił się Mały. No i dobra, niech idą. Powiem tylko mamie i pójdę do chłopaków. No i o telewizorze trzeba opowiedzieć, jak by nie było, „Огонёк”, marka. Helikopter

- Helikopter cały czas stoi – powiedział Szary. – Pewnie coś się zepsuło.
- Zobaczcie, idzie – powiedział Myszko Schweigermann – jej gach, zaraz się zacznie.
- To ja już pójdę – powiedział Saszko – mam kupę lekcji na jutro.
- Nie chcesz popatrzeć? – spytał się Myszko Schweigermann.
- Na co?
- Jak będą to robili.
- O, Mały idzie – powiedział Haska.
- Nie, nie chcę – powiedział Saszko.
- A co będą robili? – spytał się Haska.

Szary milczał, nie chcąc znowu palnąć jakiejś głupoty.

- Zaraz zobaczycie – powiedział Myszko Schweigermann.
- Już ten osiłek da ci „zobaczycie” – nie wytrzymał Szary. – Jak przyłoży, to się nie podniesiesz.

– Tchorzy nie bierzemy – powiedział Myszek Schweigermann. Szary ugryzł się w język, znowu udało mu się powiedzieć coś od rzeczy.

– To jak? – raz jeszcze spytał się Myszek Schweigermann, widać było, że jest bardzo podniecony. – Oglądamy, czy nie?

– Idę do domu – powiedział Saszek, ale nadal stał w miejscu, ściskając piłkę pod pachą.

Tymczasem dziewczyna z osiłkiem zniknęła w dołku pomiędzy ogrodzeniem a kłoda-
mi.

– Potrzebuję jakichś pięć pięciu minut – powiedział Myszek Schweigermann – idę popa-
trzeć, wy jak chcecie.

– A po co im pięć minut? – spytał się Haska.

– Dobra, zostaję – powiedział Saszek. – Doświadczenie zawsze się przyda.

– A ty, Mały, idź do domu, do mamy – powiedział Myszek Schweigermann. – To nie dla
ciebie, za młody jesteś.

– Mamy „Оголёк” – powiedział Mały, nie ruszając się z miejsca.

– Najlepszy – powiedział Haska.

– I piłkę wujek też załatwi, nawet mamie obiecał – kontynuował Mały. – I chcę grać
w zespole.

– W porządku, Mały, w porządku – wyszeptał w napięciu Myszek Schweigermann, nikt
nawet nie zauważył, że wszyscy, nie wiadomo dlaczego, mówią szeptem. – Będzie piłka,
to będziesz w zespole. Ale teraz już idź.

– Nie pójdę – powiedział Mały czując, że szykuje się coś niezwykłego.

– Musisz iść – powiedział Saszek. – To dla ciebie za wcześnie.

– A dla nich nie za wcześnie? – Mały pokazał na Szarego z Haską.

– Dla nich nie za wcześnie, oni muszą wydorosnąć – powiedział Myszek Schweigermann.

– Przedszkole nie ma pojęcia o życiu.

– Nie pójdę – uparł się Mały. Myszek Schweigermann wpadł w zakłopotanie, wyjście
znalazł Saszek:

– Posłuchaj, Mały, widzisz – to jest piłka. Do kosza. Nowiutka, graliśmy nią tylko dwadzie-
ścia minut. Popatrz – nie ma sznurka, jest na złączkę. Jak się ją przedziurawi – koniec,
kaplica, nie ma piłki. Pilnowanie tej piłki powierzam tobie, a my pójdziemy popatrzeć,
co tam i jak. A później wszystko ci opowiemy. Odpowiemy na wszystkie pytania. Zrozu-
miałeś?

Mały zasępił się, milczał, ale był szczęśliwy, przecież dorosłe chłopaki rozmawiają
z nim jak z dorosłym i powierzają taką piłkę, czyli nie ma co się wahać, jednak dla za-
chowania pozorów policzył do dwudziestu, po czym powiedział:

– Zgoda.

– No to chodźmy już – niecierpliwie powiedział Myszek Schweigermann i z szacunkiem
spojrzał na Szarka.

– Nie denerwuj się – powiedział Saszek – przecież nie zobaczysz tam nic niezwykłego.

– Zobaczą – powiedział Myszko Schweigermann. Było widać, że jest bardzo podniecony.

Myszko Schweigermann, schylony, ruszył przodem, za nim poszedł Saszko, nie schylając się wcale, z jakimś szyderczym uśmiechem na twarzy. Następnie szedł Haska, za nim Szary. Gdy Myszko Schweigermann robił przysiad czy zaczynał poruszać się płazem, Haska i Szary robili to samo. Haska znowu przypomniał sobie o brudnych naczyniach w domu i poczuł wyrzuty sumienia, Szary chciał pędzić z całych sił przed siebie, a nie skradać się, nie wiadomo po co, do tego wielkiego dołka pomiędzy ogrodzeniem a nasmołowanymi kłodami.

Manewry Myszka Schweigermanna były raczej zbędne, ponieważ chłopców przed wzrokiem pary osłaniały starannie ułożone kłody. Co prawda, między nimi trafiały się prześwity, ruch mógł zwrócić uwagę, dlatego Myszko Schweigermann poruszał się ostrożnie.

Po kilku minutach byli już przy dołku, ostrożnie unieśli głowy i zobaczyli to, co Myszko Schweigermann oglądał już dwa razy, czego Saszko dotychczas nie widział, natomiast Szary z Haską nawet nie podejrzewali, że na świecie istnieją takie rzeczy. Zobaczyli dwa całkiem nagie ciała, zobaczyli pocałunek, jakiś nienaturalny, jak śnieg w maju i rękę dziewczyny, która pieściła męskość. Nie minęła minuta, gdy osiłek zajączał cicho i jakby skurczył się.

– Już? – zapytała dziewczyna.

– Zaraz, zapalę tylko.

– Wszyscy wy tacy w tym szpitalu. Dobrze stoi, prędko opada.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Jednego papierosa.

Osiłek wyjął z kieszeni fartucha paczkę „Werchowyny”, usiadł na tymże fartuchu i zapalił papierosa. Dziewczyna leżała na piasku, piasek był zimny, ale nie zwracała na to uwagi, patrzyła w niebo, gdzie małe chmurki poruszały się szybko, niczym samoloty, i zastanawiała się, na co wyda te trzy ruble, które przypięta agrafką w tajnej kieszonce. Akcja zatrzymała się, jak kadr filmu w zepsutym aparacie kinowym.

Chłopcy czekali. Myszko Schweigermann cały drżał, Saszko czuł, że to, co zobaczył, jest nieprzyzwoite, nieczyste, chciało mu się jak najszybciej pójść stąd, ale teraz nie było żadnej możliwości po temu, Haska zerkał raz na Myszka Schweigermanna, raz na Saszka, oczekując jakichś wyjaśnień, z kolei Szary nie patrzył na gołe ciała, patrzył na góry i wydawało mu się, że słyszy mętny szum odległej Cisy; wszystkich czterech łączyła mimo to natura, która każdemu wytworzyła między nogami nieznaną dotąd twardość. Osiłek wypalił do końca, odrzucił niedopałek.

– Teraz ustami – powiedział.

– Co za gość – prześmiewczo odpowiedziała dziewczyna. – A ile dorzucisz?

– Rubel, tak jak się umawialiśmy.

– Co do tego w ogóle się nie umawialiśmy. Dawaj dwa.

Osiłek ze złością zaczął szukać w kałesonach pieniędzy, rzucił w jej stronę dwa papierki, ktoś mu doradził, żeby miał po rublu, tak łatwiej się rozliczyć. Tymczasem Saszko

pomyślał, że to przekracza już wszelkie granice, natomiast Myszko Schweigermann zatrząsł się jeszcze bardziej, jak gdyby zachorował właśnie na malarię.

Dziewczyna schowała pieniądze w swoim ubraniu, przysunęła się do osiłka i przykryła głową czerń jego owłosienia. Ohyda, pomyślał Saszko, obwąchując się jak psy. No dawaj, popędzał akcją Myszko Schweigermann, bierz mu już, bierz, co tam jeszcze węszyć? Nagle dziewczyna uniosła głowę, odepchnęła osiłka, znalazła otrzymane przed chwilą pieniądze i cisnęła węń tymi dwoma rublami:

– Masz, zabieraj to, nie zrobię ci.

– Nie zrobisz? Dlaczego?

– Myć się trzeba, trzeba się myć, jasne? Wiesz, co ci się tam nazbierało? Śmierdzi na kilometr.

– Posłuchaj, babo, może po prostu cię walnę? Żebyś się nie szarpała.

– Spróbuj. Próbowali już, później przez pół roku dochodzili do siebie w szpitalu.

– Dobra – powiedział osiłek – zróbmy inaczej. Połóż się tutaj i rozłóż nogi.

– Nie. Koniec. Skończyliśmy. Trzy ruble – jeden numer. Takie są zasady. Nie moja wina, że twój numerek jest tak szybki.

– Nijak nie chcesz? Uduśzę zaraz! – pogroził.

– Spróbuj – odrzekła raz jeszcze dziewczyna, rozejrzała się dookoła i wzięta do ręki kamień średniej wielkości. – Ale się ucieszysz ta twoja doktorka, gdy przypałasz się do pokoju z rozwaloną gębą, baranie jeden. Komsomolec jesteś czy już partyjny?

– W partii już – wyrwało się osiłkowi, który od razu zrozumiał, że powiedział za dużo.

– Wywalą cię z partii za takie numery – rzekła z przekonaniem dziewczyna. – A bez partii już po tobie. Sam wiesz.

Dziewczyna nie spieszyła się z ubieraniem, osiłek milczał i gorączkowo zastanawiał się, co by tu zrobić. Myć się trzeba, powiada. Żona nigdy nic takiego nie mówiła, jej było dobrze tak, jak jest.

– Ty larwo, uduśzę cię zaraz – powtórzył się osiłek, ale w jego słowach nie było żadnej twardości. – Zakopię tu, jak zdechłą kaczkę.

– No, no – mruknęła dziewczyna. I nagle, w jednej chwili, osiłek złamał się.

– Połóż się, proszę cię – powiedział błagalnie. – Przecież dałem ci trzy ruble.

Siedziała na piasku, zastanawiała się, wahała. Wiedziała, że takich stosunków nie wolno kończyć kłótnią, bo później często przychodzi za to stono płacić. Rzuciła osiłkowi swoje majtki:

– Masz, obetrzyj sobie interes. Zwłaszcza pod napletkiem. Czyste są.

Po tym pościeliła sukienkę i położyła się na niej, kładąc się, zauważyła cztery ostrzyżone chłopięce głowy, a to zaskarńcy, no i dobra, niech sobie patrzą, skoro aż tak ich korci, pomyślała i położyła się tak, by chłopcy mogli zobaczyć wszystko, co mogłoby ich zainteresować.

Osiłek pomógł się trochę, odrzucił majtki i akurat zamierzał położyć się na dziewczynie, gdy ktoś niespodziewanie szturchnął go w bok i nie chodziło to o siłę szturchnięcia, tylko zaskoczenia. Osiłek padł na piasek.

– Swołocz! Paskudy! Rozpustnicy! – krzyczał Wasyl i z tymi słowami chwytął dziewczynę za ramiona, piersi przypominające piłki do szczypiorniaka, za pośladki, jak gdyby dłonią chciał wyrwać pęczek włosów spomiędzy rozłożonych nóg.

Wszystko stało się tak niespodziewanie, że przez jakiś czas nikt w żaden sposób nie zareagował. Potem chłopcy podnieśli się i na stojąco obserwowali, jak Wasyl obmacuje zdumioną dziewczynę. Ositek zrozumiał, że wpakował się w jakąś chimeryczną i nieprzyjemną historię i lepiej byłoby, gdyby się tu nie pojawił, a tak poleci z ciepłej posadki w kotchozie, którą zajmował już prawie od roku... Dziewczyna rozumiała, że nie ma co czekać na pomoc, jak zawsze, pomyślała, zawsze muszę wykręcić się sama, szybko zerwała się na nogi, chwyciła ubranie i tak jak stała, goła i bosa, wyskoczyła z dołka i zaczęła biec wzdłuż przygranicznego ogrodzenia do przeciwnego końca Placu.

Wasyl pobiegł za nią. Za nim ositek. Za nim Myszek Schweigermann, Saszko, Haska i Szary, i żaden z nich nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego biegnie.

Mały, gdy zobaczył, że Wasyl (to chyba nauczyciel, pomyślał, widziałem go kiedyś w szkole) skoczył do dołka, a chłopaki zerwali się na równe nogi, upewnił się, że stało się coś niezwykłego. Zapominał o powierzonej mu piłce i z całych sił popędził do dołka, tak że akurat zdążył uplasować się za ostatnim bieżącym, czyli za Szarym. I wszyscy oni biegli nieregularnym rzędkiem, niczym gąsiorzy które biegną za gąską, tyle że o wiele szybciej, z przodu dziewczyna, goła, podskakując od ukłuć małych kamyczków na kamyczkach, które kłuły ją w stopy, jej piersi i pośladki trzęsły się nie do rytmu, ładne długie, białe, nieco pulchne nogi hipnotyzowały goniących ją, Wasyl z trudem łapał powietrze, jego twarz poczerwieniała aż do granicy, za którą nie było już koloru czerwonego, łysina zaś, prócz tego, że również stała się czerwona, pokryła się plamami koloru rdzy, czuł, że przewróci się za moment, czuł to, a mimo to biegł, bo coś nie pozwalało mu się zatrzymać, pchało do przodu, do atrakcyjnego, dawno niewidzianego kobiecego ciała, ciało to ciągnęło za sobą również ositka, który ledwo przestawiał nogi, na których od butów porobiły się odciski, u Myszka Schweigermanna zaczęło się ostatnie stadium malarii, i bieg nie przynosił żadnej ulgi, natomiast Saszko nie rozumiał, dlaczego nie zatrzyma się, dlaczego nie pójdzie po piłkę, a potem do domu, nie rozumiał i biegł, biegł również Haska, którego twarz wychudła jeszcze bardziej, a nos z powodu napięcia przekrzywił się na bok, Szary biegł tylko po to, by nie wyzowano go od tchórzy, a Mały biegł, ponieważ został członkiem zespołu i musiał być tam, gdzie jest zespół

i wszyscy oni biegli nieregularnym rzędkiem, niczym gąsiorzy, które biegną za gąską, tyle że o wiele szybciej, lecz w którymś momencie zauważyli, że bieg ten powiązany jest z dziwnymi odczuciami, coś się z nimi działo, coś, czego nie potrafili powstrzymać, usłyszeli furkot śmigieł helikoptera, czyli helikopter jednak odleciał, ale nikt z nich nie obejrzał się, oprócz Małego, a to, co zobaczył Mały, działo się jak w jakimś koszmarnym śnie, za nimi jak gdyby pędziły wielkie budynki z cegły wysokiej jakości, ta ceglana ściana doganiała ich, wypychała z Placu, przez ujęcie, na teren miasteczka, Mały dotknął Szarego, Szary Haskę, Haska Saszka, ten zaś Myszek Schweigermanna, dziewczyna obejrzała się

intuicyjnie i nie rozumiała nic, jedynie szpony przerażenia zdławiły jej gardło, pobiegła szybciej, coraz szybciej, a za nią pozostali, jedynie Wasyl nie oglądał się, na to nie starczyło mu sił, i wszyscy czuli, że coś się z nimi dzieje, jakies zmiany zachodzą we wszystkich komórkach ich ciał, ale nie mogli się zatrzymać, budynki sunęły na nich, sunęły, dopóki nie wybiegli z Placu, i nie byli już bezpieczni, ponieważ duże budynki z wytrzymałej cegły wysokiej jakości nie mogły się przedostać przez wąskie ujście we wschodniej części Placu. Stali wszyscy półkołem i patrzyli na siebie nawzajem, w spojrzeniach nie było przerażenia czy ciekawości, było natomiast stwierdzenie niewiarygodnego, lecz niezaprzeczalnego faktu: przestali być sobą, ten bieg przez cały Plac, te kilka minut ulepiły z nich innych ludzi, i mogli co najwyżej domyślać się, kto jest kim, jeden całkiem osiwiat, innemu wypadły wszystkie zęby, trzeciemu brakowało jednej nogi, jedynie w przypadku dziewczyny wiadomo było, że jest to Hanna: zrobiła się jak gdyby niższa i o wiele szersza, jej piersi przypominały już piłki do siatkówki, obwisłe nieco, natomiast oczy zmętniały, niczym okna lodowego domku.

Wszyscy stali w milczeniu. Najstraszniejsze było nie to, że się zmienili, lecz to, że nikt nie wiedział, gdzie ma teraz pójść i co robić.

Mały obmacał siebie. Z nim chyba nic się nie stało. Spojrzał na nogi, na ręce, potem jeszcze raz na Plac, który zniknął, który stał się zwykłą ulicą pełną dużych budynków.

– No i dobra – powiedział Mały. – Ja muszę już iść, mama czeka. I tak nie mogę nic zrobić.

Mały jeszcze raz obejrzał tych dziwnych ludzi, którzy w napięciu patrzyli na niego, jak gdyby na coś czekali, odwrócił się i poszedł.

W domu najpierw uważnie obejrzał się w lustrze i nie dostrzegł żadnych zmian. Po tym spytał się matki:

– Mamo, co się stało z Placem? Nastawiali tu tych budynków.

– Już dawno mogli dobudować – obojętnie i ze zmęczeniem w głosie odpowiedziała mama. – Te betoniarki dokumentnie zszarpały mi nerwy.

Mały postanowił o nic więcej nie pytać. Zamknął oczy i zobaczył, jak wszyscy oni stoją półkołem. Dopiero teraz zauważył, że w tym półkolu nie było Myszka Schweigermanna i Wasyla.

Nic to, pomyślał Mały, przynajmniej nie trzeba im przypominać, gdzie mają iść.



Mariusz Gutowski